

9210

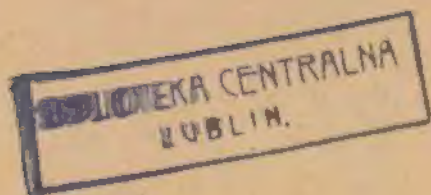
BIBLIOTEKA CENTRALNA
LUBLIN



BIBLIOTEKA CENTRALNA
LUBLIN.



1000174395





Pod kościołem w Pratolinie Moskale strzelają do bezbronnych Unitów.

BIBLIOTEKA CENTRALNA
LUBLIN.



3184474
WYDAWNICTWO LUDOWE.

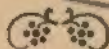


WYJĄTKI Z PODLASKIEGO

„Hospody pomyśluj“

OTTONÓWNEJ.

BIBLIOTEKA CENTRALNA
LUBLIN.



~~№ 863~~

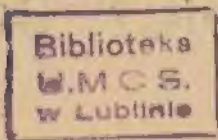
NA KŁAD EM

Komitetu Wydawnictwa dzieł ludowych.

Odpowiedzialny redaktor: Bronisław Sokalski.

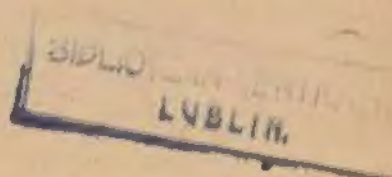
LWÓW 1910.

A-11511



Hist. 10c

K. 239|56|330



Wstęp.

W r. 1908 wyszła w Krakowie książka p. t. Podlaskie „Hospody pomyśluj”, pamiętnik prześladowania unitów na Podlasiu w latach 1872—1905, napisana przez naocznego świadka — Ottonównę. Z tej ciekawej książki podajemy czytelnikom naszym najważniejsze ustępy, z których można poznać dokładnie stosunki, wśród jakich żyje ludność unicka pod panowaniem rosyjskiem i jakich środków używa rząd moskiewski, by lud ruski zniewolić do schizmy czyli tak zwanego prawosławia.

Autorka, Ottonówna, rozpoczyna swój pamiętnik temi słowy:

Pamiętaj! Glebę Ci wydrzeć mogą. *Ducha*, bez zezwolenia Twego... nigdy.

Ziemia świętą bywa. to prawda — ale Bóg i Ojczyzna przed wszystkim i nad wszystko, w sercu, w myśli i w woli człowieka się mieszczą.

Gdybyś kiedy o tem wątpić chciał, niech na wszelkie zwątpienie odpowie Ci. Podlasie!

Dlaczego wydaję to streszczone dzieło doświadczeń moich zebranych na miejscu i spostrzeżeń długoletnich? Dlatego, że ludzkość prawo ma do prawdy, a męczennicy i wyznawcy do czci na ziemi, choć nagroda ich jest wyższą i nieskończoną; dlatego, aby dokładna znajomość przeszłości ostrzeżeniem i ochroną się stała dla mglistej i niepewnej przyszłości. Wreszcie niepodobna milczeć, gdy bolesny rozdzźwięk między dwoma cierpiącymi, bratnimi narodami słowiańskimi w Galicyi spotęgował się do zgrzytu, do szczęku broni. To dla nas Polaków i Rusinów Podlaskich, tak dziwne, tak niezrozumiałe!...

Wśród tylu głosów, obustronnie tu podnoszących się dla wyliczania gorliwie krzywd,

win i błędów (prawdziwych, pozornych, urojonych lub wmawianych), zaostrażając i rozogniając waśń wyrodną.. niechże jeden głos przemówi inaczej, inaczej!

Wszak wszyscy ludzie dobrej wiary i dobrej woli musimy być zgodni w jednym ogólnem przekonaniu: świętą nad wszystko jest Prawda Boża czyli wiara, mistrzyni ducha i życia ludzkiego, podająca jedyne przyczyny rdzenne godności człowieka i wartości jego życia

Świętszą niż jednostka jest rodzina, świętszym niż rodzina naród, świętszą niż narodowość ludzkość.

Lecz ludzkość winna szanować narodowości, narody winny opieką otaczać rodziny, rodzina winna starać się dla swych członków bez wyjątku o pełny rozwój, do jakiego jest zdolna każda pojedyncza indywidualność

Gdyby na prawdę ziemia była zbyt szczupłą i zbyt ubogą, aby łączna praca inteligencji i sił wszystkich jednostek mogła starczyć dla wydobycia z niej chleba, a w następstwach poszanowania i szczęścia dla każdego z jej dzieci, gdyby istotnie — jak twierdzą niektórzy materyaliści — ostatniem słowem przyszłości miała być dzika, niesprawiedliwa, bezwzględna, menawistna walka o byt, gdyby chwałą a na-

wet powinnoscią samozachowawczą państw i narodów miało być samolubne i okrutne upokarzanie państw ościennych i zgnębianie narodów słabszych na wspólnej glebie zamieszkałych, taka ludzkość, złożona z takich ras i osobistości, nie zasługiwałaby na życie.

Narodów-chwastów do wypłenicia nie na!

Każdy gatunek posiadający duszę ma prawo przyrodzone i nadprzyrodzone do miłości i do troskliwości ogółu.

Gdyby człowiek każdy w myśl Ewangelii nauczył się myśleć o drugim jak o samym sobie, zasługiwać na moralny kredyt, i otwierac kredyt moralny bliźniemu, gdyby stał oręża obrócił na lemięsz, wyższość zaś uprzywilejowanych umysłów bez lichwy kierowała wspólną pracą przeciętnego społeczeństwa wtedy łono matki ziemi stałoby się płodniejszem w ziarno, a duch i życie ludzkie w dobro!

Państwa zaborecze i ludzie twardego serca, wrogami są ludzkości.

Ale grzechu grzechem, ani gwałtu gwałtem nie wypłenisz! Ziarna miłości i opamiętania na przyszłość krwawym przewrotem nie zasyejesz.

Wściekłość zbuntowanych, straszniejszych tyranów samej sobie narzuca, niżli ci, których wytępiła.

Jedynie łagodną a wytrwałą stanowczością może sprzymierzona łączność ucierpiętych wyleczyć winowajców z choroby wielkości i przemocy, z puchłiny pychy i bezprawia.

Wilki, robactwo i kaniankę gubić wolno, ale ani rozwoju, ani samowiedzy, ani sumienia, ani poszczególnych a nieszkodliwych właściwości rasowych lub indywidualnych żadnego jestestwa słabego czy silnego obdarzonego duchem. Kto, sądząc po sobie, zaprzecza istnieniu duszy, sam na siebie wyrok wydaje — pierwszy jako szkodnik ginać powinien, gdyż odejmuje wszelką wartość życiu, ogłaćając je z możności wierzenia w jakikolwiek ideał.

Opatrzność w historii stałe się przejawia

Zbrodnia nadużycia potęgi bywa niechybnie karana, ale dzikie pogańskie narzędzia pomsty łamią się i kruszą nawzajem w chwili bezwiednego spełnienia posłannictwa swego.

Ulenowaj nas Boże od kuszenia się na takie przeznaczenie!

Szowinizm nie jest patryotyzmem. Samochwalstwo i tajemne ran własnych nie jest ich uzdrowieniem. Jedynym zdrowym patryotyzmem jest żądać dla siebie tylko tego, co chętni jesteśmy przyznać i udzielić drugim. Zasada wyłącznego prawa siły brutalnej do bytu — na rzekomej podstawie istoty tej przewagi — jest rdzeniem fałszywa, gdyż umysł jest siłą wyższą,

niż siła muszkularna, a dowodem tego przewaga człowieka nad wszelkiem najsilniejszym zwierzęciem; ale umysł, zbydlęcony samolubstwem i pychą, jest siłą ujemną i poślednią, organicznie ograniczoną, wobec umysłu, rządzonego poczuciem prawa, a natchnionego bezgranicznymi potrzebami wierzącej duszy. Ten spodziewać się może łaski i cudu w porządku harmonii Bożej, jak płuca liczyć mogą na powietrze, a wnętrzności na pokarm dla nich stworzony.

Kłamcą i szkodnikiem jest ten, kto mu chce tego zaprzeczyć, a krótkotrwałem zwycięstwo jego, gdyż: „Wiara gory przenosi”, a Bóg czuwa!

Polką jestem, a kocham Rusinów. Znałam ich na Podlasiu w ciągu długiego życia: Ruś, krasawicę łagodną, wdzięczną i cnotliwą; Ruś, bohaterską i męczeńską, wytrwałą i cierpliwą; Ruś pełną godności, szczodrobliwą i ofiarną oddającą bez zastrzeżeń mienie, łzy i krew w zamian za wyższe dobro. Innej ja nie znam. Zbyt ściśle się z nią zżyłam, aby móżdż kiedykolwiek i gdziekolwiek czego innego pragnąć niż tego, żeby wszędzie i zawsze taką była.

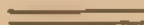
Wybaczenie mi, bracia moi, jeżeli w bolesnej chwili, z tem wyznaniem do Was się zwracam i w Imię Boże, w imię męczenników!

Wszak nie znam stosunków galicyjskich z bliska, nie winuję nikogo, mówię za siebie, odzywam się z błyskiem sympatyi i nadziei do rodaków najdroższego mi ludu, toć głos serca, przemawiający do serca, żadnej sprawie jeszcze nie zaszkodził, a nie jedną ranę duchową zagoił. Mówię do ludzi dobrej woli, których znajdziesz w łonie każdego narodu, a nawet do zapalców, zdolnych do uspokojenia. Nie przemawiam do agitatorów, ani do zdrajców, których również nie brak w żadnym narodzie! Do Polaków i do Rusinów zarówno, w imię tak długo ukrzyżowanego Podlasia wołam: czytajcie z uszanowaniem dzieje wyznawców siedleckiej gubernii przez 33 długie lata. I za memi bardzo pokornie powtarzam — tak się nieraz modlili oni za swych prześladowców: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“.

W czambuł winować narod cały za srom i grzech najgorszej jego części — niepodobna. Między Rosyanami nawet, których rząd i czynownicy pastwili się nad Unią i pastwią się jeszcze nad nami, znajdziesz ludzi, sprzyjających nam tak dalece sercem i przekonaniem, że niektórzy położyli życie swe w ofierze za nas, jedni w powstaniu na polu bitwy, drudzy później, na szubienicy.

Chrystus Pan w ostatniej godzinie tak powiedział do Ojca: „Daruj im, gdyż nie wiedzą, co czynią!“

Popłyn więc rzeką krwi i łez, pieśnią błagalną, na ustach ciał całopalonych, mimo serc kamiennych i Judaszowych zmów, popłyn do stop Tronu Najwyższego, biedna jękląca opowieść najszczytniejszych dzieł wiary, na przełomie dwóch stuleci najskrajniejszej niewiary, zwątpienia i materializmu



I.

Podlasie.

Plaszczyzna, pokryta przepaścistemi bagnami, przerznięta szerokimi, medbale utrzymywanemi drogami, wzdłuż których ciągną się po bokach rzędy wysokich topoli.

Na płaskach rosną bory, a dalej łąny i łąki blade a mizerne, wieczną powłoką oparu otulone. Mosty dziurawe, dużą wypukłą belką w pośrodku wzmocone; szmer wiatraków, zegot zab, krakanie wron, klekot bocianów na marnych pastwiskach. Nad tem wszystkiem wznosi się szerokim widnokregiem jasno-blade niebo, a dołem, jak daleko oko sięgnie: krzyże i krzyże . . .

Widzisz je na rozdrożach, na groblach, pod lasami, w ogrodach, przy folwarkach, nadto po wsiach przy każdej

drugiej chacie, które się ciągną długą wstęgą z obu stron błotnistego gościńca.

Chaty czyste, w węgły budowane, słomą kryte, stoją blisko siebie, jak gdyby chciały dać świadectwo sąsiedzkiej zgodzie i miłości swoich mieszkańców, tych długowłosych chłopów w brązowych sukmanach, tych bosych dzieci o dużych rozmarzonych oczach. Smutek i cisza, jakaś niezwykła powaga okryła te wsie, łąki i pola, zasiane gęsto krzyżami, jak gdyby ciężka nędza odebrała ludziom wszelką chęć do radości, młodości, ziemskiego życia. Lecz nie, nie nędza nie bieda to sprawiła . . . U ludu tutejszego widoczny nawet pewien dobrobyt; nie brak kożuchów, płótna, sukna, przedziwa dużo, lnu konopi i wełny. Statków i sprzętów dość, do domu i do roli. Serwituty nie rozdzielone, więc i paszy i drzewa nie brak na pańskim gruncie, a pańszczyzny się już nie odrabia. Przeludnienia nie ma. Szmata spory ziemi i dobytku nie mało przyznano niedawno każdemu gospodarzowi.

Toż nie w nędzy leży przyczyna tej melancholii, tego smutku, tej niezwykłej, wprost zakonnej powagi. Przyczyną takiego stanu jest to, że lud tutejszy odcięty

od postępowej cywilizacji naszych czasów, mało nawykły do szczęścia i używania, nawiedzany regularnie nieuniknionymi chorobami wiosny i jesieni, nieraz pozbawiony jedną epidemią całej działalności swojej, nieufny w lekarzy, bezbronny wobec klęsk losu, przekonany, że dola ludzka na ziemi jest krótkim a ciężkim przejściem tylko, stracił zupełnie nadzieję w możliwość polepszenia swej doli i szukał sił i otuchy w jedynym, od wieków znanym mu źródle ożywczem: w Kościele i wierze katolickiej.

A że treścią tej wiary: pokora, pokuta, czystość, powaga i umartwienie ciała, nic więc dziwnego, że cnoty te owładnęły całym życiem ludu podlaskiego, oderwały myśl jego od ziemskich rozrywek i zabaw, stały się mu sprzymierzeńcami do entuzjazmu religijnego, który go unosił, zadowalał i takim czynił, jakim był.

Niezwykła pokora i ów prawie nadprzyrodzony spokój ludu podlaskiego omyliły rząd rosyjski, który, uważając siebie za dobrodzieja podlaskiego ludu, obdarowawszy go cudzą ziemią i zwolniwszy od zobowiązań wieczystej dzierżawy, zażądał od pokornych Podlasian

zmiany wiary, począł namawiać do schyzmy, do przejścia na prawosławie. Gdy zaś namowa przeszła w naleganie, potem w usiłowanie przymusu, lud podlaski stracił wdzięczność za materialne dobrodziejstwa Rosyi, uważając je za zadatek żadanego przemiewierstwa i postanowił umrzeć raczej niż ustąpić.

Teraz, gdy lud podlaski w jednej chwili uczuł się zagrożonym zgubą duszy, utratą zbawienia i skarbów wiekowych, zamęczeniem nabytej prawdy i spokoju sumienia, zawrzał z oburzeniem i zwrócił się całym sercem po ratunek do swych dawnych panów, Polaków, do twardej ale ojcowskiej dłoni.

I wtedy rozpoczęła się ta krwawa i łzawa walka męczeńskiego Podlasia z barbarzyńską przemocą Rosyi, podczas której niemal w każdej rodzinie rozgrywały się rozdzierające sceny, szarpały wszelkie zasady i węzły życia rodzinnego a mazały w pył po sybirskich traktach po lochach więziennych i poświęconych grobach, tysiące istot myślących.

II.

Sylwuch Ruś.

Było to 13-go grudnia r. 1872. Odwilż po kilkudniowej śnieżycy. Wieś Hanna nękęła literalnie w głębinach czarnego wydeptanego błota. Południe. Mężczyźni flegmatycznie wyłaniali się ze stodół, gdzie cepami młócili nędzne żyto, z obórek gdzie nadawali trochę lichej paszy krowom; inni nadjeżdżali z lasu pańskiego na przesadnie naładowanych wozikach zbieraniny, każdy ciągniony przez mizerna zdyszana szkapinę. Kilkunastu młodych wracało na obiad z podwórza pańskiego. Mało który zagwizdał lub zażartował, i to z cicha niesmiało, ostrożnie. Dziewczęta leciały także do domu z oczyma spuszczonemi, szybko, nie oglądając się, nie wychylając noska z pod ciasno zakutanych chustek. Kobiety krzątały się koło rodzinnej misy.

W chałupie Sylwucha Rusia było najwidniej, najpiękniej, najporządniej. Uwolniony on został jeszcze od pańszczyzny przed laty, za wyjątkowe zasługi, położone u dawnych właścicieli. Dostał grunt za własność, większy od tego, jaki później rząd przeznaczył całorolnym gospodarzom. Umie on czytać, pisać, rachować — uczył się i więcej przy młodszym bracie dziedzica, który księdzem został i umarł w Rzymie; więc Ruś zna dokładnie różnice, zachodzące między Kościołem prawosławnym a katolickim i wie, że podobieństwo rytuału między schizmą grecką a grecką Unią katolicką nie stanowi jedności w dogmatach, tylko w formie zewnętrznej. On mądry, dobry, czytany, przytem bogaty, przyjaciel panów, a jednak przyjaciel i braci swoich, ich nauczyciel, wzór, patryarcha, dziś więcej niż to wszystko: ich świętość, relikwia z dawnych czasów. Synowi oddał grunt i gospodarstwo, sam zaś mistyczny starzec o łagodnych rysach, w modlitwie pogrążony żyje, obcując więcej z Bogiem niż z ludźmi, występując rzadko, wtedy tylko, gdy wezwany do rady w ważnych kwestiach gminy lub w sporach pojedynczych gospodarzy. Siwiuteńki jak go-

łab, ośmdziesięcioletni dziadek, bił się w r. 1831 przy boku swego pana — podróżował, pamięta wiele, pogrzebał więcej, a teraz na uwienczenie życia, jak na ostatnią próbę, dano mu widzieć pokusę i prześladowanie swych braci. Na byłego wiarusa Rus nie wygląda. Wymosłe czoło, miękkie śmieżne kędziory w tył odgarnięte, błękitne, głębokie, zamglone oczy, niby wewnątrz własnej duszy wpatrzone, woskowo-blade lica, bez zmarszczek, wymi zerowane skulona wysoka postać, wyraz jakby roztargnienia, jakby wsłuchania w jakąś nieziemską rozmowę, nadają Rusiowi cechę ascety czy pokornego proroka, uciemnionego plemienia raczej, niż żyjącego wpośród żyjących. Zda się nie nie wie, nie uważa, lecz niech się stanie cokolwiek, niech padnie słowo wymagające nagany lub objaśnienia, widać, że zmysły zewnętrznego człowieka, bezwiednie na godzinę potrzeby zebrały dźwięki i ruchy, bo z menacka dziadek milczący się hodzi — jasne źrenice rzucają płomienie, drżące, misternie rzeźbione wargi wydają słowa lapidarne, jędrne i mądre, nie przypominają niczego, snąć nie nie uszło hacznosci jego: choć żyje jakoby nie żył, na wzór pochrystusowych apo-

stolów, karci, poucza, prostuje, trafia do celu całą potęgą duszy skupionej w jedną najdonioślejszą ideę.

Od dwóch lat ludzie zaczęli stronić od cerkwi. Coś się w niej źle dzieje księża dziwne prawią nauki, dziwne głoszą ukazy. W miejscowościach pokątnych, gdzie wojska i kancelaryi niema, lud przeklął swoich pasterzy, wypędził, a klucze od domu Bożego odebrał. Gdzieindziej gromada przestała tylko chodzić na odmienne nabożenstwo, szczególnie tam, gdzie cerkwi brak. I tak z Hunnej wierni szli dawniej do cerkwi dalekiej w Pratołnie, to do swojej kaplicy dworskiej łacińskiej. Teraz niema co robić w Pratołnie, a co medziela, gdy w pałacu dzwonią na Mszę księdza kapelana w Hunnej, strażak się zjawia u bramy ogrodowej, a natrętnym rozdaje szturchańce z admonicyą:

A ty tu po co? Marsz do cerkwi. Czy ci żal butów na miłą drogę?

Z początku wprowadzie przybiegała panienka i mówiła, że ten to posłaniec na pocztę, tamci znow ludzie, którzy wczoraj tygodniowej zapłaty nie otrzymali. Strażak czapkę zdjął, krzywił się, drapał głowę i puszczał. Ale od pół roku jest strażaków dwóch, a ten drugi z Bia-

lej przybyły nie dba o panienkę, ledwie czapki dotknie, a raz nawet powiedział:

Niechno państwo się w to nie wdają, bo już nie jedną katoliczką kaplicę zamknęto, jak było tego za wiele!

Panienka strasznie się zaczerwieniła i do bramy już nie wracała. Odtąd ludziska gromadzą się w dnie świąteczne u Rusia, słuchają jego czytania i tłumaczeń, modlą się za nim, a wieczorem schodzi się młodzież pod chałupę i spiewa chórem, a strazak jeszcze nie mówić nie śmie, tylko zapisuje coś ołówkiem w notesiku, patrzy z podełba i odchodzi.

Zewsząd dochodzą głuche wieści o biciach, karach, więzieniach, katowaniach; ale w Hunnej do tego jeszcze nie doszło. Wtedy właśnie dwóch włościan ze starszyny wsi Gęsi powiatu radzyńskiego zabrano na indagację do Białej, aby za wszystkich Unitów podlaskich się wytłumaczyć. Archirej, popi, starali się rozumowaniem ich pokonać; lecz jeden z nich, Andrzej Kruszyński, okazał się tak biegłym w teologii (był to druh wojenny Rusia), przytaczał tak płynnie artykuły soborów i rokowania florenckie o rozłącze kościołów, że go niezwłocznie odesłano, aby nie bałamucił drugiego.

Ten drugi, nazwiskiem Lisak, był prostakiem. Powiedli go do cerkwi pod strażą i przemocą pomazali czoło jego olejem, święconym przez schizmatyków. Gdy go następnie pop objaśnił, że ten obrządek uczynił go prawosławnym, Lisak znikł; po kilku godzinach zaś stanął napowrót w oczach archiereja, blady zakrwawiony, z twarzą straszliwie od bólu skurczoną i z okropną raną na czole.

Teraz już nie jestem i nigdy być nie mogę prawosławnym — rzekł z dumą — bo obrałem sobie brzytwą skórkę z czoła.

Rzeczywiście od brwi do włosów miał wyrżnięty wydłużony kwadrat ciała, na głębokość kilku milimetrów. W szpitalu odratowano go z trudnością, gdyż rzucił w ogień, olejem skalany kawał skóry, a żywe mięso, nie pokryte groziło zakażeniem krwi.

Dziś w chacie Rusia siedzą na ławach około wspólnej misy stary Sylwuch, syn jego już pięćdziesięcioletni Trochim, niemłoda gospodyni, żona Trochima i dzieci ich, piętnastoletni Wiktor, młodszy nieco Iwanek i córka najstarsza Fruzia. Biedna dziewczyna jest zaręczona, ale czeka

z zamażpójściem, aż będzie jakiś koniec z tym nieładem w cerkwiach. Pomodlili się i jedzą, skupieni, zadumani, jak to zwykle chłopci, wdzięczni za zapłacony posiłek, więc używający go z namaszczeniem. Nagle na błotnistym gościu rozległ się hałas niezwykły: trzaskanie z bałów, miękkie a głębokie stąpanie potężnych kopyt w grzęskiej melizmie, szczekanie przerażonych psów, gęganie uciekających band gęsi, pisk świń, brzęczenie koł i blaszek. Chłopców oczy zabłysły, lecz nie śmiali się ruszyć. Trochę spojrzeli na ojca i wstał, zbliżył się do okienka, potem dopadł do drzwi, otworzył, wychylił się za próg i patrzył.

Kareta w kare kome zaprzęzona, dwóch konnych żandarmów na przedzie! Stanęli... coś się Sergeja rozpytują... znów ruszyli... jada... ach jakie święciła z nich kapią!... Dalibóg!... Pan naczelnik się wychyla... Coś gada do stangreta... już są tuż, tuż... Jezus Marya!... Przy nas stanęli!!!

Nim skończył, już cała wylęgła rodzina przy nim stała z szeroko otwartymi oczyma. Stary sam jeden został w głębi chaty. Zbliżył się do wizerunku Matki Boskiej, malowanego na blasze, pod któ-

rym w szklaneczce była woda święcona. Umaczał palce, przeżegnał się i coś szeptał, a oczy i ręce podnosił do góry. Pod rozpiętą koszulą na chudej piersi błyszczał krzyżyk miedziany, czernił się szkaplerzyk karmelitański, wił się długi różaniec o wytartych do połowy brunatnych ziarnkach. Ruś modlił się jeszcze, gdy już „Naczelnik” był w izbie. Długa sztywna kibić jego zgięła się z przesadnym niesmakiem w niskich drzwiach, usta się jednak w uśmiech składały, któremu zadawało kłam złowrogię siwych ocz spojrzenie. Z chłopami mówił on zazwyczaj systemem rosyjskim: krótko, szorstko, domnie — niby z bardzo wysoka, jak człowiek mówi do psa, kiedy chce być słuchanym. Dziś przeciwnie — było w nim coś szczególnego, coś w rodzaju zakłopotania, prawie przymilemia, gdy się zbliżył do starca głęboko przed nim pochylonego.

Mam do was interes ojezulku
rzekł tonem uprzejmym — lecz chcę pomówić z wami sam na sam!

Tu natura i przyzwyczajenie wzięły górę nad napiętą wolą, zwrócił się nagle do zagapionej rodziny, machnął ręką i wypuścił brutalne „won!”, które wypło

szło biedaków jak stado wróbli na dwór. Zamknęli drzwi za sobą i poszli oglądać z daleka karetę i konie; kobieta tylko podsunęła się do żandarmów, usiłując dowiedzieć się od nich, czego to naczelnik chce. Milczkiem najechana, odskoczyła, poprzestając na żalosnem stękanu.

Tymczasem w chałupie stary podał naczelnikowi jedyne krzesło, przeznaczone na odwiedzinę państwa i pochodzące ze dworu. Lecz pułkownik krzesła nie przyjął, zbliżył się do Sylwucha, położył mu rękę na ramieniu i tak do niego przemówił:

— Słuchajcie ojczy! Ja wiem, że z was mądry i uczony chłop, i religiant, i że macie wasze sumienie i zrozumienie me tak jak to było co krzyeży; „My katoliki! my nie chcemy być russcy“ a nie wiedzą nawet co to znaczy. To też ja was, człowieku, nie będę nigdy nigdy zmuszać do zmiany, słowem wam za to ręczę, że do waszej śmierci pozostaniecie według waszego wierzenia... Ale zważajcie mo trochę co się dzieje. Najjaśniejszy Pan chce żeby wasze plemię do niego całkiem należało i duszą, i ciałem, tak jak my. Najjaśniejszy car jest panem połowy świata i wszystkie inne narody

są jak pchły obok jego państwa. Chciał mieć Polskę i ma, i co zechce mieć będzie, bo on silny i pan, i Bóg z nim trzyma — a wy garstka głupich ludzi ginięcie nie wiadomo dlaczego, bo żaden nawet nie wie, czego chce w swojej wierze, a czego nie chce w naszej; i za to tracą gospodarstwa i dobytek, dzieci i siebie. Przecież zrozumieć możecie, że carowi przykro, żeby jego poddani gdzieś tam jakiegos papieża w Rzymie słuchali, który nawet o nich nie wie, kiedy on jest waszym ojcem i papieżem! Słuchajcie!... Tam się w Prato nie głupstwo stało. Jak wiecie, tamten ksiądz, cosmy go za upór do kozy wzięli, uciekł do Austrii i opuścił was biedne owieczki, jak ten wilk do lasu, nie jak pasterz żaden! Wiele przywiozłem wam księdza, jakiegoscie nawet jeszcze nigdy nie widzieli. Czysty święty, mówię wam! Taki duży, piękny, z długą brodą i włosami, jak malowane! A te durne klucze od cerkwi zabrał, i nie chcą dać! Posłałem po ślusarza... obstał cerkiew i ani majstra, ani księdza, ani mnie puscie nie chcą!

Na to straszne a swieżutkie wspomnienie krew gburatyra zawrzała w wotrowskim czynowniku. Posiniał, wnet zbladł

i wbrew własnej woli, zaryczał w dzikiej zawziętej furii:

Słyszysz? te huncwoty, te waryaty, te psy tam stoją i mnie mnie do rana me puszczaają, mówiąc, że tam jest Sakrament i że go katolicki ksiądz zabrać mus.! Słyszałeś ty co podobnego? Łajdaki! Oni chcą, żebym ich do ostatniego powystrzelał jak psów! Lotry! Nędzne liehe szelmy! Ja im pokażę, co to znaczy mnie opór stawieć — kto? Chamy! Ścierwa! Za kogo oni mnie mają?!!

Opluwał się i dławił, z nerwowego rozdrażnienia brzydko się krzywił, kociemi ziemcami błyskał, a wszelka dystynkeya światowca w tej chwili go opuściła.

Nagle się opamiętał i dodał spokojniejszym już głosem:

Posłałem po wojsko, ale żal mi ludzi. Wolałbym ich nawrócić, niż rozstrzelać. Mówił mi porucznik Kobryński, że ty masz wpływ nad nimi, że jak ty im co powiesz, to cię posłuchają — więc przyjechałem po ciebie, zebys ich ratował. Powiedz im u dyabła, że pan nasz jest mocniejszy od nich, że im będzie rad, że ich obsypie łaskami, że im da więcej gruntu, niż już dał, byle mu byli wierni, że będą mieć opiekę rządu, bezpłatne wychowanie dzieci, pierwszeństwo wszędzie

i do wójtowstwa i do cerkwi, i do serwitutów — że wyjdą na ludzi! A na to, co oni wiedzą o religii, to nie mają co się spierać; bo jeżeli ich ojcowie byli Umoty, to ich dziadkowie byli prawosławni; a jeżeli wy macie posty i modlitwy, i cudowne obrazy, to my ich mamy więcej! A pierwsze posłuszeństwo, niż nabożeństwo — więc jak będą słuchać monarchy, to i Bogu się spodoba; a jak nie, to zginą! Jak Bóg na niebie, że marne zginą, a my ich dzieci wyhodujemy tak, jak nam się spodoba, bez nich! Słyszysz? Powiesz im to? Chcesz mieć zasługę u Pana Boga i życie braci ocalić, i dusze ich, że nie zmuszą nas do krwi rozlewu?... A zresztą — dodał ciszej — co oni tam sobie w sercu będą wierzyć, to nam wszystko jedno. Pojmujesz? Powiedz im to! Aby tylko nam oddali posłuszeństwo i chodzili do cerkwi jak Bóg przykazał, to nam dosyć! A ty, już stary i mądry, to co innego! Ciebie my zostawimy w spokoju jak szlachcica... Chodź nie chodź do kościoła, byles tamtych duraków namówił, będzie dobrze! Co?

Stary był bleśszy niż zwykle i dygotał jak w febrze, a pot kroplisty występował mu na czole, lecz wydłużona

twarz martwa, ostro zarysowana twarz jego żadnego nie zdradzała wrazenia. Milczał długo, zwróciwszy oczy błagalne i zamglone do wizerunku Matki Najświętszej.

Naczelnik przestępował z nogi na nogę, gryząc paznogie...

I będziecie ich rozstrzelać, panoczku nareszcie wyjąknął chłop żałośliwie, ale stłumionym głosem.

Baron zaklął:

Aboż nie?! I tak jestem dobry, że jeszcze się tu pofatygowałem, żeby sukinsyny oszczędzić!

Ruś dumiał i dumiał. Czoło w ręce ukrył, kiwał się i chodził, palce łamał, jakby pod wpływem fizycznego bólu, a ciągle załzawiony wzrok zawracał od zjadłego okrutnika do Niepokalanej Pannienki.

Naczelnik drżał z hamowanego rozdrażnienia. Zagryzał usta, wydymał nozdrza, już, już miał wżasnąć szpetne przekleństwo i wylecieć z izby, już, już zaglądała niespokojnie w okienko synowa z chłopcami, gdy nagle starzec przystanął, wyprostował się tak, iż zdał się dotykać pulapu siwnuteńką głową i rzekł:

Pójdę panie, powiem!

Wtedy pułkownik, opadnięty jakimś dzikim rozczuleniem chciał mu się mętnie rzucić na szyję, czując się zwolnionym od nieco gnębiącej alternatywy ustępstwa lub mordy. Starzec cofnął się i pochylił mu zimno do ramienia. W milczeniu znikł na chwilę do alkierza, skąd wrócił w odświętnej sukmanie, świeżych butach i z baranią czapką w ręku. Przeszli obaj wśród zdumionej i oniemiałej rodziny, dokoła której się zbiegła gromadka wylekłych sąsiadów. Stary chciał wdrapywać się na kozioł, lecz baron szarpnął go za ramię i wciągnął do karety mówiąc ostro

Aby lepiej szanowali słowa twoje!

Trochim cisnął się za rodzicem, wołając:

Jasny panie! O la Boga rety!... Co wy z ojcem naszym robicie?

Synowa lamentowała, czepiając się błyszczącej klamki; lecz żandarmi nacierali ich brutalnie jak pierwej, odtrącili pierśią i łbami końskiem, odemajac bezpowrotnie od pojazdu. Drzwiczki zatrzaśnięto. Kare rysaki ruszyły z kopyta z wielkim brzękiem blaszek i trzaskaniem z batów. Żandarmi spięli rumiaki, doganiając i przeganiając karetę; jęk trwogi,

potem płacz głośny rozległ się przed cha-
tą: „O Jezu, Jezu co to będzie?” bła-
dał Trochim, chwytając się oburącz bez-
władnie za głowę; a mały, bosy Wiktor,
w koszulinę i majtki z lnianego samo-
działu odziany, nie pytając, co z tego bę-
dzie, jak pies za odjeżdżającymi się pu-
ścił w cwał w ten zimny dzień grudnio-
wy; padał, grzebał się, zrywał, pełzał po
ziemi jak waryat, sapiąc, krew z nosa
płynącą w biegu rękawem ocierając,
wreszcie, gdy miał już przekłęty powóz
z oczu stracić, a spostrzegł się, że stan-
gret skrzył na szosę pradolinską, zawył
dziko, zmienił kierunek, na przełaj łąki
przeciał, skracając sobie drogi, a tak go-
nił, gonił i harował za dziadkiem aż do
dalekiego Pradolna, do którego zdążył
na wpół omdlały, medługo po rysakach
pana naczelnika.

III.

Rzeź w Pratolinie.

Kościółek na wzgórzu, przed nim plac. Na placu ciasno zbita, ponura, bezbronna kupa ludzi, o brunatnych siermięgach, o długich płowych włosach i przerażonych jasnych oczach. Cisną się do zamkniętych wrót kościółka. Niektórzy klęczą i modlą się, inni podejrzliwie zaglądają, czy druga, mniejsza, lecz bardziej jeszcze zwarta garstka ludzi przy drzwiach zakrystyi nie dała się obejść.

Tłum prawie przeważnie się składa z mężczyzn wszelkiego wieku, nie wyłączając wyrostków i starców. Gdzieś jednak kobieta tuli się do „swego”, a z tyłu kilkoro piskląt z płaczem się wiesza u jej spódnicy.

Słońce już miało się ku wczesnemu grudniowemu zachodowi, trawy i błota

sztywniały pod idącym z nocą mrozem: bokiem czerwona łuna wypogodzonego horyzontu oświecała jaskrawo blade twarze i zapalała iskry wzdłuż żółtych guzików u ciemno-zielonych mundurów. Naprzeciw tłoku z gołemi rękami warujących włościan, stał mur wojska, z najeżonemi bagnietami. Oficerowie silnie znużeni wałęsali się na uboczu, coś szmerząc po cichu między sobą, paląc ukradkiem papierosy, tupiąc w ziemię skostniałemi nogami i wyglądając niecierpliwie czegoś w dali.

Kilku kozaków i żandarmów konnych uzupełniało ten obraz. Na progu dawnej opustoszałej plebani, u stóp pagórka, stał zmarszczony, zdenerwowany pop, o długiej sukni, długich włosach, długiej brodzie i powłóczystych rękawach. Z nim rozmawiał po rosyjsku ślusarz, katolik łacinnik, podła fizyognomia i podła dusza, prosto z kryminału zawrócona. W ręku miał ścierkę pełną wytrychów i rozmaitych ostrych narzędzi.

Jadą! jadą! — wrzasnął któryś z konnych kozaków.

W tej chwili oficerowie rzucili papierosy, prostując się i stając każdy na swym posterunku z pałaszem w ręku.

Orłowskie ogiery zamaszystym klusem i zgrabnym łukiem wpadłszy na wzgórze, stanęły osadzone na miejscu między gromadą a wojskiem. Ordynans nie zdołał przyskoczyć do drzwi, gdy wypadł z nich rozpromieniony pułkownik i szerokim ruchem wskazując karete, z której powoli wysuwał się staruszek, zawołał na ludzi:

No dzieci! patrzajcie, jakim dobry. Zamast was śmiercią karać, jak się wam za bunt należało, pojechałem sam do waszego baćka. Mówiliście, że co on wam powie, wy zrobicie. Otóż macie go! Słuchajcie co wam każe! Ja nie więcej nie żądam niż on, bo on mądry i rozumie lepiej od was czego Bóg chce i Najjaśniejszy Pan!

Kareta odjechała.

Ogromne milczenie zapanowało straszne, urocze jak cisza przed burzą, jak przerwa między wydaniem a przeczytaniem wyroku.

Ruś, blady na twarzy okolony białemi włosami, stał opromieniony ostatnim tryumfalnym blaskiem ognistej kuli słonecznej, chylącej się ku zachodowi. Rece miał złożone, oczy wznesione do głębokiego nieba — a to niebo było nad nim

blekitne i niezmiernie przeźroczyste, potem wpadało w tęczowe odmiany, zielonkawo-żółte, liliowo-nurpurowe, a dusza snąć z piersi mu się wyrywała, bieząc do tych świetlanych głębi, a krzyż na kościelnej wieżyczce przed nim ostro się rysował na tle bezdennego lazuru, jak surowy rys obowiązku na bezdennem tle obietnic niebieskich.

Lud, chwilowo zachwiany słowami naczelnika, spojrział tylko na postać zamodlonego starca Serafina i odzyskał pewność niezamąconą.

Chłopi wstrzymali oddech z obawy, by ojciec zbyt słabym głosem nie przemówił do nich i żeby czego nie stracili z nauki jego. Wstrzymali oddech żołnierze, sami nie wiedząc dlaczego, może w przeczuciu, że im lada chwila jakiś rozkaz danym będzie.

I baron milczał, tamując oddech; naraż, zaniepokojony dziwną postacią Rusia, która nawet jego tygrysiej duszy stawiała się przejrzystą w tej sekundzie, nie wątpiąc jednak o własnym rozumie i wysokim wpływie, otrząsnął się z przywidzenia i ruszył z lekka ramionami, tłómacząc sobie, że Sylwuch, spełniając święty akt ocalenia w tym momencie, słusznie robi,

że się modli, by lud skorzystał z namowy jego i poddał się carowi.

Uroczysty i silny rozległ się srebrny głos staruszka, gdy nareszcie przemówił, przeżegnawszy się pobożnie.

— Bracia, dzieci, sąsiady i kumy moje! Przyszedłem na żądanie Jaśnie Wielmożnego Pana Naczelnika, by powtórzyć wam słowa jego, które on powie-dzieć mi raczył, a które są prawdziwe!

Tu pułkownik zacisnął dłonie z za-dowolenia i rzucił zwycięsko-ironiczne spojrzenie ku oficerom.

Lud słuchał trochę natężony, jakby przelotne zdziwienie i troska musnęły czoła słuchających.

Pan Naczelnik mówi, i to jest prawda — powtórzył starzec — że Naj-jasniejszy Car jest mocniejszy od wszystkich ludzi, od panów i od księży naszych, od dawnych królów polskich, od was i od dzieci waszych; że mocen jest i chetny wam dać wszelkie wygody i dobra ziem-skie jeżeli mu dusze wasze oddacie w państewczynę, a zaprzecie się wiary oj-cow waszych. Mówi też Pan Naczelnik i to jest prawda — że jeżeli tego nie zro-bicie, to pójdziecie na śmierć i na Sybir, ojcowizna wasza na zmarnowanie, a dzieci

wasze na chowanie i pomstę u prawosławnych; że wielu katolików nawet o was nie wie i wiedzieć nie chce, albo nie może, więc pomocy od ludzi daremnie wam oczekiwać, tak, iż potomstwo wasze nie odziedziczy nawet wiary, za którą zginiecie.

Chłopom oczy dziką rozpaczą się rozbłysły, patrzyli po sobie osłupieni w niemym bólu rękami rzucając, jakby nie chcieli własnym uszom wierzyć, że ich ojciec zdradza.

Baron aż się trząsł z wewnętrznego śmiechu szatańskiej radości. Ruś bardzo spokojny ciągnął dalej.

Powiedziałem wam, co mówi Pan Naczelnik i co jest prawdą. A teraz powiem od siebie to, co jest prawdą także i prawdą większą nad wszystkie. Ja dziś jedną nogą w grobie stojąc nad brzegiem wieczności, gdzie przyjdzie mi zdać sprawę z sumienia mojego wobec Stwórcy wszechrzeczy, powiadam wam, że życie jest krótkie, a wieczność bez końca, że car mocniejszy od ludzi, a Bóg od cara, że Chrystus umarł za nas na krzyżu, więc nam także warto dla niego umierać, że kto raz poznał wiarę prawdziwą, która z Boga jest, a dla bojaźni ludzkiej

zaprzedalby się zakonowi, w który nie wierzy...

Tu pułkownik chwilowo odrętwiały z oburzenia, ryknął:

Milez! i skoczył do starca, bijąc, szarpiąc, usiłując osobiście zagłuszyć słowa jego — lecz ten, dziwną siłą ogarnięty, przytrzymał na minutę ręce Naczelnika i podnosząc głos, dokończył:

Ten byłby zdrajcą i perekińcem, hańbą swojego rodu, mordercą duszy swojej i swych dzieci. A dzieci wiernych wytrwają mimo pokus, bo im łaska Boga będzie matką i ojcem, jak była pierwszym chrześcijanom!

Wyrwał się naczelnik spieniony z rąk omdlewającego starca, jasny włos stanął mu jeżem na głowie, dobył z kieszeni rewolwer, przyłożył do czoła Rusta i... wypalił.

Po strzale Sviwuch stał przez chwilę jak w zawieszonym ramieniu miał rozkrzyżowane, twarz miała jak chusta, w konającym blasku zachodnim kapana, a po niej spływały krople krwi od skroni. Nagle bez jęku osunął się na ziemię, a lud na kolanach, wśród głośnego łkania kobiet i dzieci, wołał:

Nie damy się! nie damy!...
Umrzemy z nim umrzemy!... Bóg z na-
mi!... Bóg utajony tu, w Przenajświętszym
Sakramencie! Nigdy, nigdy kościoła nie
oddamy! Wiary się nie zaprzemy!

.
- Z drogi!... Ruszajcie!... kipiął
Naczelnik. Uciekajcie do czorta, bo
kazę strzelać!... Woni psy!... Mówię wam,
woni z przed świątym!

W tem sygnaturka dworskiej kaplicy
z łona zacisznego parku poczęła dzwonić
na Anioł Pański, a lud klęczący złama-
nym głosem, niby fala wezbrana jęklwe-
go morza, zaśpiewał z całej głębi zbioro-
wej męczeńskiej duszy.

Bogarodzica Dziewica, Bogiem sławiona
Maryja, u Twego Syna gospodyna
Matko zwolona
Maryja ziszej nam, spuść nam,
Kyrie elejson Twego Syna
Chrzcziciela zbożny czas.

Naczelnik skoczył w bok, skoczył
w tył:

Drugi raz wzywam was, rozejdźcie się — wrzeszczał — bo spadnie na was krew wasza i dzieci waszych.

A zwracając się do wojska, dodał:
Za broń!

Ale lud ani słuchał, ani wiedział i śpiewał bez przerwy:

Ustysz głosy, napelnij myśl człowieka,
Słysz modlitwę, tenże Cię prosimy,
Daj na świecie zbrozny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt,
Kyrie elejson!

Żołnierze na komendę swych oficerów rozstawiem wszerz, byli już w pogotowiu. Pierwszy szereg przykląkł na jednym kolanie, mierzając ludami do wyznawców. Drugi rząd zięjących lud sterczał ponuro nad pierwszym.

W imię Najjaśniejszego Pana, po raz trzeci i ostatni wzywam was, rozstapcie się!

A do żołnierzy:

— Cell! — krzyknął.

Lud śpiewał:

Narodził się dla nas Syn Boży.
W to wierzą ludzie zbrojni.

Iż przez trud Bog swój lud
Odjął dyabłu z straży!..

Pal! zawył Baron.

Zagrzmiał rotowy ogień przeciągle...
raz i ustał. Kilkunastu ludzi runęło!
Baron patrzył skwapliwie, czy reszta nie
ustąpi.

Rzadsze i słabsze były głosy, które
po nad jękiem rannych i dogorywających
śpiewały jeszcze:

Śmierć podjął, wspominał człowieka pierw-
[szego,
jeszcze trudy cierpiał bez mierne,
jeszcze był nie przyspiał, za wierne,
Aze sam Bog zmartwychwstał.

Pal! zawył Baron.

I po raz drugi zionęła śmierć z luf
dwustu karabinów

Już dwa głosy tylko, głos męski
i głos kobiecy wznosiły się nad dysze-
niem konania i warczeniem bólu:

Da ciom człowiecze Bog dał przekląc sobie
Bok, ręce, nodze obie,
Krew święta szła z boku, na zbawienie Tobie!..

Na bagnety! odezwał się pułkownik.

Thuszeza żołnierstwa rzuciła się na przód i rozniosła ostatki medobitków

Jak podecięte kłosy, padały szeregi ofiar, same się układając w tragiczne snopy zakłutych ciał. Pośród tych zdrętwiałych owieczek poddających się na rzez bez oporu, byli tacy, którzy szaleńcem rozpaczony opętani, bronili się do ostatka, bez najmniejszej nadziei ocalenia

Chwytałi gołemi rękami za ostrza bagnetow, owijali się wkoło napastników jak węże, wytrącając im broń z garści, gryzacz, dracz i dławiacz nieprzyjaciela dopóki zadzgam nie padł, z nim pod ciężarem zmarłych druhów, przytłaczających im nogi i walących się na nich kolumnami *arrieres-piqués*. Był wreszcie tacy, którzy obłędem i strachem zdjeści, ranni czyli całi udali się do nieczeki, zrazu strzalamy sergam, później biorąc dudnienie własnej krwi w tetnach i w uszach za huk pogoni biegli bez pamięci, kto do chaty (gdzie w konwulsyjnej panice po ciemku, zaryglowawszy drzwi, pod ławą lub w atkierzu szukali schronienia), kto do lasu, kto w pole, kto wprost przed siebie

w świat, dopóki nie odeszły siły lub zaskoczyli obcy ludzie o kilka mil odległości.

Byli inni, którzy śmiertelnie postrzeleni zdołali zbiedz i złożyli kości pod jaką naddrożną burtą lub po prostu na środku gościńca. Jednego pod dalekim znaleziono krzyżem.

Równocześnie co żyło we wsi, zrywało się ku placu boju. Pozostawieni w domu chorzy, kalecy, kobiety, dziady, dzieci z chałup się wysypały, odwazniejsi docierając do krwawej mety, inni kryjąc się za płotami i drzewami za węgłem budynku lub na dnie głębokiego rowu, aby siedzieć wleczym wzrokiem i wyteżonym słuchem ohydny przebieg dopełniającej się ołhary. Były matki, były narzeczone, które nadbiegły na czas, aby pasc przy swoich i podzienc ich los. Z dalszych zagród przybiegały równe bohaterskie niewiasty już po dokonanej rzezi, które daremnie śmierci wzywały, przeklinając na głos oprawców i nadstawiając im brzemienne łona do ciosu.

Przed kościołem gradem kłó zeszpeconym, szeszedziesiąt trupów leżało bezładną masą; ci twarzami do góry, z bitem na oczach szeroko otwartych, tamci czo-

łem do ziemi. Martwe ręce oplatały ciała bez duszy; dłoń w dłoń broczył we krwi ojciec z synem, brat z bratem, kum z kumem. Między zwłokami rzucały się w bezwiednej agonii żyjące postacie, wyrывały jęki z rozpiętych piersi, białały chusty kobiet, sterczały niemowlęce rączki, wity się członki porąbane, syczały usta tężcem bólu skórczone.

Słusarza! księdza! wołał pułkownik rozgorączkowany własnem dziełem i odpowiedzialnością.

Zjawili się słusarz, kozak z latarnią i pop, na twarzy którego zaciętość walczyła o lepsze z przerażeniem. Kilka uderzeń młotem na żelaznym dźwie, a zarzewiały zamek z hałasem wyleciał z odwiecznych wrot. Po ciepłych trupach przeszli pop i pułkownik a za nimi żołnierze z czapkami w ręku, znaczyć kamienną posadzkę domu Bozego krwawą posoką swych stop.

Już zapadł zmierzch zupełny, ciemność pokryła potworne czyny ludzkie, a ciche łzawe gwiazdy wystąpiły nad sprofanowaną cerkwią na czystym niebioszafirze. Na zastygłym trupie Rusia, wysuniętym naprzód od zbitego pomostu

ciał, leżał chłopiec żyjący, bosy, w płótno odziany i namietnie się tulił do zmarłego, całował krzepnace rwy jego, a jasne włosy dziecka mieszały się z siwizną starca.

Oj dziadku, mój dziadku ty najmilszy, mój dobry, mój słodki, mój święty — zawodził biedak obcując Ci i przysięgam tu, tu przed tym Bogiem i tą Pamienką najświętszą w kościele i na tę krew naszą tu niewinnie przelaną, że nigdy, nigdy nie będę perekińcem, nigdy wiary nie zdradzę .. nie!

W tej chwili wychodzili z kościoła baron w towarzystwie popa, zostawiwszy leżną wartę w cerkwi, a silny patrol dookoła. Kozacy ściągali z meboszezyków sukmany, buty i srebrne obrączki ślubne. Ślusarz zmerzał do kuzni z zamkiem kościelnym w rękę, baby z przeraźliwym piskiem i białaniem odszukiwały swoich bliskich w stosach zabitych i rannych. Były i drapały żołdatów, którzy dotad nie dostawszy wódki ani jadła, nie bardzo chwaćko wyglądali, a raczej wstydzili się trochę swej roboty. Niektóre niewiasty, za pomocą młodszych chłopaków wynosiły już na płachtach to trupy, to bezwładna zamierająca postać.

Z jakiejś wsi sąsiedniej, gdzie jeszcze nie wiadano o niezem, przypisując woj-skowym manewrom ogień rotowy często na Podlasiu słyszany, jesienią 1. czwarka rozlegała swe smętne tony, rozdzierając na kilka mil dokoła czyste powietrze no-cne. Naczelnik potknął się na trupie Syl-wucha i na leżącej postaci Wiktora. Chłopa-pak zerwał się tak wściekły, skoczył puł-kownikowi do gardła jak kot, a sycząc z bólu i gniewu, pluł mu w oczy:

„Przeklęty! .. Przeklęty! Przeklęty! ..”
I drobna pięścią uderzył go z całej siły w twarz. Potem pusił, zwinął się w kłę-bek i przepadł. Baron strzeł, ale noc za-słoniła zarówno i strom i barona i osobę znikającego chłopca. Jak w cwał przy-leciał do Pratolina, tak w cwał powracał do Hunnej, biedny krwią zbryzgany wy-rostek, wracał sam jeden z widmami w oczach i dreszczami w kościach, do osieroconej wsi, rodziny, chałupy na progu której nazałutrz rano znalazła go zemdlonego matka.

Z parku dworskiego w Pratolinie o jakie dwiescie kroków od pobojuwiska wyszedł młody człowiek. Dziedzic. Stał pod starą lipą nieopodal cerkwi i patrzył

długo na plac dokonanej zbrodni. „Mój Boże, mój Boże bradał jaki straszny świat twój.

W zdobytej plebanii pułkownik posępnie leżał ubrany na łóżku, nie mogąc usnąć i układając w myśli kłamliwy protokół do raportu. W izbie obok popi i oficerowie, nad wódką pojęłosem rozprawiali. W cerkwi dogasały latarnie, kozacy usypiali, kto pod ścianą, kto na progu, kto na dworze, medaleko trupów. Sprytniejsi trahli do karczmy; regularne wojsko koczowało na łące. A wiatraki i krzyże podlaskie sterczały po zastygłych błotach i bagnach, po łanach i rozdrozach. We wsi pies był przeciągły, bity odchodził dalej i z pyskiem wznesionym do góry, zdawał się wołać o pomoc nie do ludzi, ale do Stwórcy tych ludzi... Kobieta, która pod strzałami ostatnia śpiewała piosn Bogarodicy, przy boku mężowego meza, tknięta nagleś pomieszczeniem zmysłów, wcale też śpiewać nie przestała, ani się z miejsca nie ruszyła, lecz huśtając się łagodnie nad sztywnymi członkami małżonka, wtórowała ligawce dalekiej i psu we wsi zawodzącemu:

Wierz-że w to człowiecze, iż Jezus Chrystus
[prawy,
Cierpiał za nas rany,
Swą świętą krew przelał za nas chrześciany,
Maryja Dziewica, proś Syna Swego,
Króla Niebieskiego,
Aby nas uchował od wszego złego. Amen!

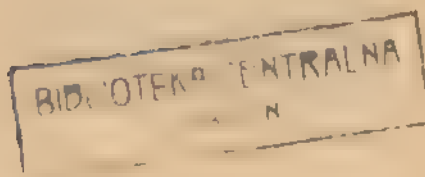
Dwadzieścia lat minęło nie się nie
zmieniło.

Kobieta była młoda i piękna, dziś
stara i przerażenie budząca. Jak duch po-
kutujący czy błagalny meszczęśliwej Um,
chodzi ona po mrozie i skwarze, po dro-
gach i miedzach Podlasia, po wsiach
i miasteczkach, po chałupach, dworach
i urzędach, o żebranym chlebie, w ob-
dartych łachmanach; oczy jej szklane,
nie widzą nic przed sobą ani w sobie,
prócz jednego obrazu... Pratołińskiej krzy-
wdy!... I śpiewa bezkarnie wobec rosyj-
skich władców, śpiewa rozdzierająco wo-
bec bezbronnej braci, ach! śpiewa może
nie bezowocnie, choć my owocu tego nie

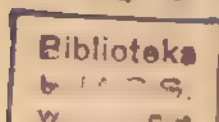
widzimy wobec Boga uwięzionego w schizmatyzowanej cerkwi.

Bogarodzico Dziewico
Bogiem sławiona Maryjo!
Proś Syna Swego!
Krola Niebieskiego!
Aby nas ucnował od złego! Amen

(Koniec części pierwszej)



№ 663





BIBLIOTEKA CENTRALNA
LUBLIN.

96, 1



BIBLIOTEKA CENTRALNA
LUBLIN.

№ 663

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 11511



1000174395